

# MODELKA

LARS SAABYE CHRISTENSEN

PRZEŁOŻYŁA IWONA ZIMNICKA

MARGINESY

This translation has been published with the financial support of NORLA  
Przekład powstał ze wsparciem finansowym NORLA



*Modellen*

COPYRIGHT © Lars Saabye Christensen and Grif, 2020

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Iwona Zimnicka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2024

## PROLOG

Kiedy wreszcie pojawiła się przede mną szansa na przeprowadzenie wywiadu z malarzem Peterem Wihlem, w dodatku tego samego wieczoru, kiedy kończył pięćdziesiąt lat i jednocześnie otwarto jego nową wystawę, miało się okazać, że wywiadu nie możemy wydrukować ze względu na ten straszny wypadek, do którego doszło wkrótce potem. Siedzieliśmy w restauracji, dokładnie naprzeciwko galerii, słyszałam ludzi, którzy wciąż wchodzili i wychodzili. Miałam wręcz wyrzuty sumienia z powodu takiego zaanektowania Petera Wihla, jubilata i bohatera wieczoru, lecz to on zaproponował, żebyśmy przyszli porozmawiać tutaj. Wydawał się i podenerwowany, i pełen wyczekiwania, co może nie było wcale takie dziwne, bo przecież właśnie otwarto jego wystawę, a poza tym miał też pewnie głowę zajęta innymi sprawami. Wyczułam, że mówiąc, stale odwracał się do okna. Poprosił nawet o szampana dla mnie. I odniosłam wrażenie, że większość z tego, co zdążył powiedzieć, to były cytaty, coś, co gdzieś przeczytał albo usłyszał, myśli zapożyczone od innych, nie wiem, zwłaszcza kiedy wypowiedział te słowa o szatanie, że to szatan uwolnił kolory z przedmiotów. A jednak przeczuwałam, że chciałby powiedzieć mi coś innego, coś więcej, tyle mu leżało na sercu, może

właśnie dlatego tak się niecierpliwił, wcześniej oświadczył, że powie mi wszystko, chociaż nie wiedziałam, co to ma oznaczać.

Dyktafon leżał między nami na stoliku. Sprawdziłam, czy działa. Działał. Głos Petera Wihla był wszędzie. Malarz dalej mówił. Nie mogę powiedzieć, że rozumiałam absolutnie wszystko, ale przecież po powrocie do domu miałabym czas na uważniejsze wsłuchanie się w jego słowa. W pewnej chwili mu przerwałam, może to szampan dodał mi odwagi na tyle, że spytałam wprost:

– Czy kiedykolwiek bał się pan, że pan nie dokończy?

Usłyszałam, że coś upada na podłogę, może widelczyk, bo Peter Wihl jadł ciastko.

– Że nie dokończy?

Jestem pewna, że zrozumiał, o co mi chodzi. Mimo to musiałam doprecyzować:

– Że nie dokończy pan obrazów na wystawę, zanim pan straci wzrok.

Prawie się do mnie przysunął, głos miał ściśnięty, pełen uporu.

– Obrazu się nie kończy. Obraz się porzuca.

Umilkł, po jego oddechu zorientowałam się, że znów się ode mnie odwrócił, i przestraszyłam się, że wszystko zepsułam. Chciałam coś powiedzieć, szukałam właściwych słów, chciałam powiedzieć mniej więcej, że moim zdaniem stwierdzenie, że czegoś się nie kończy, tylko się to coś porzuca, jest zarówno piękne, jak i straszne, ale zanim do tego dotarłam, on musiał zobaczyć je przez okno, bo nagle się poderwał i w jego głosie, teraz niemal jasnym, słychać było ulgę, kiedy mówił:

– Przepraszam na chwilę. Moja żona i córka tu są.

A potem Peter Wihl wyszedł na ulicę, żeby je przywitać.

# 1

Pół roku wcześniej stracił wzrok.

Peter Wihl w któreś październikowe popołudnie pracował w atelier nad obrazami na jubileuszową wystawę, dwunastoma dużymi płótnami. Był w swoim mundurze, gotowy na wojnę: bose stopy w zniszczonych sandałach, długi poplamiony fartuch, szalik na szyi. Uporał się już z tłem, z podstawą. Teraz pozostawała jedynie sztuka. I wpadł w przyjemny ciąg, który od czasu do czasu się zdarza, niemal jak odurzenie na trzeźwo. Ręka była pewna i posłuszna. Myśli wyraźne. Wiedział, dokąd zmierza. Należało jedynie znaleźć drogę. Bez wysiłku przechodził od motywu do motywu, które powoli, ale wyraźnie nabierały formy, anatomiczne wycinki, mięśnie, łopatka, ścięgno, staw palca. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio doświadczał takiej kontroli, teraz znów panował nad swoimi narzędziami, panował nad pracą i to właśnie teraz, w momencie, gdy praca miała się wznieść i zmienić w sztukę, kiedy rzemiosło, męka, miało zacząć lśnić, i to uczucie przypominało szczęście. To było szczęście. Nagle jednak poczuł gwałtowny ból w oczach, jakby coś się w nich stłukło i popękało, jakby oczy wypełniły się hałasem. Kolory zlały się ze sobą, linie rozpuściły, perspektywa zniknęła, po prostu zrobiło się czarno i osunął się

na podłogę. Nie trwało to długo. Już minęło. Słyszał tylko echo bólu, ciężkie uderzenia własnego serca. Peter Wihl klęczał i długo opierał głowę na rękach. Doszedł do siebie. Wszystko wróciło na swoje miejsce równie nagle, jak się rozbiło. Wstał powoli, a kiedy odwrócił się w stronę wysokich okien, zobaczył Helene i Kaię na końcu ogrodu, w obramowaniu szprosów i krzyży, w gasnącym świetle października, i wszystko to, co mógł zobaczyć, wypełniło go radością czy też raczej ulgą tak głęboką, tak dojmującą, że o mało się nie rozplakał, bo chwilę wcześniej znajdował się w ciemności. Helene siedziała na białej ławce pod jabłonią i przeglądała scenopis, czarne, krótko obcięte włosy, fioletowe mitenki, płaszcz w kolorze ochry, nigdy wcześniej nie widział jej wyraźniej, a Kaia grabiła liście grabiami o wiele dla niej za dużymi. I Peter Wihl pomyślał, że nigdy nie namalował tych dwóch osób, ani swojej żony, ani córki.

Może znał powód: były mu zbyt bliskie i nie miał odwagi. Włożył wiatrówkę i wyszedł do nich.

Kaia nie przestawała grabić, liście otaczały ją żółtym kręgiem.

Gałąź tuż nad Helene była czarna, a na jej końcu wisało czerwone zmarznięte jabłko.

– Co czytasz?

– Co czytam? *Dziką kaczkę*, oczywiście.

– No tak, oczywiście. Wszystko w porządku?

Helene odłożyła scenopis i podniosła wzrok na Petera.

– O co chodzi?

– O nic.

Przeglądała mu się jeszcze przez chwilę.

– O co chodzi? – powtórzyła.

– Poczuję się tylko trochę zmęczony.

Nagły podmuch wiatru poderwał liście i Kaię otoczył żółty sztorm. Peter podszedł do niej i razem próbowali łapać liście, niektóre były zupełnie suche, w palcach rozpadały się w pył i znikwały, inne, wilgotne, tylko im uciekały, opadając na ziemię gdzieś dalej w ogrodzie, nie dało się złapać wszystkich i w końcu Peter kucnął przed córką.

Miała zielone oczy.

Oczy swojej matki.

– Zostawimy te liście do wiosny – powiedział.

– Tak?

– Tak. Żeby mogły uspokoić się pod śniegiem.

Kaia się roześmiała i wskazała na niego palcem.

– Znów masz farbę na twarzy!

– A jaki kolor?

Rzuciła grabie i przycisnęła mu palec do czoła.

– Niebieską.

– Tylko niebieską?

– I czarną.

– Więcej już nie?

– I jeszcze trochę brązowej.

– Brązowej?

– Tak. Tutaj. I białej. Na nosie.

– Do czego jestem podobny?

Kaia musiała się zastanowić, ciągle patrzyli sobie w oczy i Petera Wihla znów obezwładniło to zielone spojrzenie, spojrzenie jego dziecka, otwarte, niezłęknięte, takie nieużyte, jakby wszystko przez cały czas widziało po raz pierwszy.

Ale teraz po jej buzi przemknął cień.

– Nie wiem – powiedziała cicho.

– Nie wiesz?

Kaia spuściła wzrok i pokręciła głową.

A potem wypowiedziała te dziwne słowa, w jej głosie brzmiał niemal lęk, więc Peter też się wystraszył.

– Nie jesteś podobny do siebie.

Spróbował się roześmiać, obrócić te słowa w żart.

– Nie jestem podobny do siebie?

Kaia znów pokręciła głową.

Helene wstała z ławki, wiatr zaczął przerzucać strony scenopisu, kartka po kartce. Podeszła do nich. Peter powoli się podniósł. Helene położyła mu rękę na ramieniu.

Już się ściemniło.

– Idź trochę odpocząć, zanim przyjdą – powiedziała.

– Zanim przyjdą? Kto przyjdzie?

Kaia uprzedziła matkę, zawołała pierwsza:

– Wujek Ben!

Peter westchnął.

– Wujek Ben.

Helene przysunęła się do niego.

– Zapomniałeś?

– Teraz już pamiętam. Przyjdzie wujek Ben.

– Z osobą towarzyszącą.

– O Boże, znów z osobą towarzyszącą?

Kaia się roześmiała, jakby poczuła ulgę, że może mówić o czymś, z czego się cieszy.

– Wujek Ben z osobą towarzyszącą!

– I z jedzeniem – dodała Helene.

A Peter zrobił tak, jak powiedziała, poszedł do atelier i tam położył się na antresoli. Wkrótce wśród zapachu terpentyny zapadł w sen, nie głęboki, taki tuż pod powierzchnią, na samych obrzeżach, ale wystarczający, żeby śnić: stoi sam



na szkolnym podwórzu przy fontannie z wodą do picia, ma jakieś jedenaście lat i marznie. Podchodzi do niego inny chłopiec. Peter, jeśli również we śnie ma tak na imię, czuje strach. Robi kilka kroków do tyłu, ale ten chłopiec, który jest od niego większy, czy też cięższy, nie zatrzymuje się, dopóki całkiem się nie zbliży, nie podejdzie tuż do niego. I pyta: Gdybyś mógł wybierać, to wolałbyś być ślepy czy głuchy? W tej chwili Peter się obudził z odpowiedzią na pytanie ze snu na języku: To nie jest żaden wybór. To groźba.

I równie nagle przypomniał sobie tamte dziwne, przerażające słowa Kai: Nie jesteś podobny do siebie.

Wstał, wziął prysznic, potem nachylił się do matowego lustra, które stopniowo nabierało przejrzystości i ostrości, jego twarz się zbliżyła, jakby wylał się z mgły, i nie mógł dostrzec nic innego niż to, że jest tym, kim był, Peterem Wihlem, wkrótce pięćdziesięcioletnim, o jeden dzień starszym niż wczoraj i o jedną noc młodszym niż jutro.

Ale w oczach ciągle widział resztki tamtego nagłego strachu, paniki, która go opadła, gdy na kilka sekund stracił wzrok.

Na tym polegała różnica.

Peter Wihl pomyślał: Czy kiedykolwiek się jej pozbędę?

Wrócił do atelier i usiadł tam w ciemności wśród obrazów.

Później wrzucił polano do piecyka, zmiął kilka starych brudnych gazet, podpalił je i otworzył szyber; od czarnego żelaza wkrótce zaczęło się rozchodzić ciepło i przeszkłone drzwiczki zaparowały.

Ben przyszedł o wpół do ósmej. Przyniósł butelkę czerwonego wina i jeden kieliszek. Usiadł na drugim krześle, w atelier były tylko dwa krzesła, jedno wygodne, a drugie niewygodne. Peter siedział na tym wygodnym. Ben nalał sobie i wypił. Był

jedyną osobą, która mogła wejść do atelier, kiedy Peter pracował, nawet Helene i Kaia nie mogły tu zaglądać, taką mieli umowę, było to jedyne prawo ustanowione przez Petera, z wyjątkiem tego dotyczącego alkoholu, i było absolutne.

Peter pił wodę.

Ben pił wino i zaczął od tego samego, od czego zaczynał zawsze:

– Powinieneś tu sobie zainstalować lampę.

– Przecież wiesz, że maluję wyłącznie przy naturalnym świetle.

– Niedługo skrócą ci się dni pracy, Peter.

– Masz mi coś do zarzucenia?

– Mam nadzieję, że twoje obrazy nie będą takie mroczne jak otoczenie.

Peter wstał i odwrócił jedno z płócien do ściany.

– Gdzie osoba towarzysząca? – spytał.

– Osoba towarzysząca zabawia Helene i Kaię.

– A kim jest osoba towarzysząca tym razem?

Ben roześmiał się krótko.

– Czy w twoim prostym pytaniu wyczuwam pewien sceptycyzm czy może raczej pogardę?

– Ależ skąd.

– A może monogamiczną i męską krytykę mojego stylu życia?

Teraz z kolei roześmiał się Peter.

– Czyżbyś był dzisiaj przewrażliwiony, Ben?

– Na imię mu Patrick i ma dwadzieścia dziewięć lat.

– Gdzie go znalazłeś?

– W basenie w Grandzie, w niedzielę rano. A ściślej mówiąc, w saunie. Zadowolony?

Benjamin Rav w zeszłym roku skończył sześćdziesiąt pięć lat, był szczupły i wysportowany, codziennie rano przepływał swoje tysiąc metrów w basenie w Grand Hotelu, okresami potrafił być ascetyczny, zawsze nosił dwurzędowe garnitury, włosy miał gęste i siwe, w wieku osiemnastu lat wpiął sobie perłę w płatek lewego ucha, jak mieli w zwyczaju Cyganie, marynarze i pedały, osiem lat później wyjechał do hiszpańskiego miasteczka rybackiego Cadaqués, kupił za grosze walizkę litografii Salvadora Dalego, wprowadzie niesygnowanych, ale sprzedawał je nuworyszom i próżniakom ze śmietanki towarzyskiej na wybrzeżu Morza Śródziemnego i zbił na tym majątek. W taki właśnie sposób zaczął. Ben, jak nazywali go najbliżsi, których nie było wielu, był marszandem Petera Wihla od dwudziestu pięciu lat, od jego debiutanckiej wystawy *Amputacje*.

– Helene się o ciebie martwi – powiedział Ben.

Peter z powrotem usiadł.

– Naprawdę?

– A kiedy Helene się martwi, zaczynam się martwić i ja.

– Jestem po prostu trochę zmęczony.

– Zmęczony? Do otwarcia zostało pół roku. Dzień później będziesz się mógł czuć zmęczony. Następnego dnia możesz umrzeć.

Peter nalał sobie do szklanki i wypił.

– To minie – stwierdził.

– Wiesz, o co idzie gra?

– Tak, dobrze wiem.

– Nic już nie dostaniesz za darmo. Przeciwnie. Oni chcą cię dopaść. Najchętniej wyrzuciliby cię na śmietnik.

– Dzięki, Ben. Bardzo mnie uspokoiłeś.

– Mówię serio, Peter. Dlatego musisz im, do cholery, pokazać takie obrazy, jakich nigdy w życiu nie widzieli.

– I taki mam zamiar. Stoją tutaj.

– Mówiąc wprost, nie stać cię już na to, żebyś się powtarzał.

– Co masz na myśli?

– Dokładnie to, co mówię, Peter. Wiesz, co złe języki mówią o tobie ostatnio?

– Powiedz, Ben.

– Mówią, że jeśli Peter Wihl zamierza namalować kolejne części ciała, to wkrótce będzie musiał malować flaki.

Peter odwrócił głowę i roześmiał się.

– A co to za złe języki?

– Wszyscy.

– Wszyscy? To znaczy kto?

– Daj spokój, Peter. Próbuję ci powiedzieć, że teraz nie możesz sobie pozwolić na zmęczenie. Słyszysz, co mówię? Słuchasz mnie?

– To minie – powtórzył Peter.

Ale Ben się nie poddawał.

– Helene powiedziała, że kiedy dziś po południu wyszedłeś do nich z atelier, wydawałeś się wstrząśnięty.

– Wstrząśnięty? Tak powiedziała?

– Tak. Wstrząśnięty. Właśnie tego słowa użyła. Coś się stało?

Peter znów się podniósł i stanął przy wysokich oknach, odwrócony do Bena plecami, ciemność była zupełnie blisko, widział jedynie odległe światła z willi na tym skraju miasta, na którym się wychował. Padał deszcz, ale on go nie dostrzegł.

– Słyszałeś, co się stało z bielą tytanową Beckersa? – spytał.

– Nie, powiedz.

– Chemik umarł i recepturę sprzedali Chińczykom, a oni, jasna cholera, domieszczyli do niej oleju sojowego. I teraz jest już bezużyteczna. Nie lśni.

– To dlatego te obrazy są takie mroczne?

Peter odwrócił się gwałtownie, ale w cieniu między płótnami ledwie mógł dostrzec Bena.

– Ty jesteś właścicielem ścian. Ja maluję obrazy. Możemy to tak zostawić?

Ben podszedł do niego z innej strony, niż Peter się spodziewał. Uniósł kieliszek.

– Sprowadzę ci biel z Londynu – oświadczył.

Wypili, a Peter zrozumiał, że Ben oczywiście nie wierzy w takie wyjaśnienie, że Peter był wstrząśnięty śmiercią chemika, wynalazcy jego ulubionej farby, białego tła. Czy powinien mu raczej powiedzieć prawdę, że na moment oślepnął i że teraz znów widzi, ale że tamten moment wstrząsnął nim w sposób, na którego opisanie nie miał słów, nie starczało mu wyobraźni, śmierć wysunęła czułek, pół roku przed wernisażem, pół roku przed pięćdziesiątymi urodzinami, czy miał o tym powiedzieć?

Zawołała ich Helene.

Przeszli przez ogród, po liściach, do kuchni w głównym domu.

Kaia pomagała nakrywać do stołu, pełno na nim było małych miseczek i talerzyków z tym nowym rodzajem jedzenia, takim, które się je palcami, Peter go nie znosił, nie chciał jeść palcami, bo istnieją przybory, które do tego służą.

– Zrobiłeś to wszystko sam, wujku? – spytała Kaia.

Wujek Ben roześmiał się i wziął ją na ręce.

– Ja niczego nie robię sam, moja królowo. Wszystko, co mam, kupuję.

Osoba towarzysząca już siedziała przy stole i na widok Petera od razu wstała. Wyciągnęła obie ręce i chwyciła jego dłoni.

– To dla mnie wielki zaszczyt móc tu przyjść i pana poznać.

– No, no – przerwał mu Ben. – Tu obowiązują naturalne formy towarzyskie, mimo że jesteśmy u geniusza.

Mężczyzna, czy też raczej chłopak, nie puszczał ręki Petera.

– Mam na imię Patrick.

Z pulchnymi dziecięcymi policzkami sprawiał wrażenie młodszego niż jego dwadzieścia dziewięć lat, choć może głównie z powodu ubrania, luźnych spodni, dużych butów, tiszertu z rosyjskimi literami na piersi, w każdym razie nie wyglądał na pływaka; wieśniak w mieście, pomyślał od razu Peter, lecz jednocześnie zrozumiał, że skoro Ben wybrał sobie tego chłopaka, tym samym dając mu referencje, pasując go, można rzec, na rycerza, to on, Peter Wihl, jest poza światem, dobiega pięćdziesiątki i nie rozumie obowiązujących kodów, sygnały wydają mu się bezsensowne, nie odróżnia już wrzasku zwycięstwa od wołania o pomoc, innymi słowy, wypadł z rytmu, stał się cudzoziemcem na własnym boisku i znakomicie się z tym czuł.

Czy właśnie to miał na myśli Ben, mówiąc o śmietniku?

– Peter Wihl – przedstawił się.

Patrick się uśmiechnął.

– Jestem wielkim fanem.

– No to mi ulżyło.

Peter wreszcie uwolnił rękę z uścisku Patricka i mogli usiąść. Helene nalala wody i wina do kieliszków, Kaia piła oranżadę jabłkową, przez pewien czas jedli palcami w milczeniu, ten rodzaj jedzenia wymagał całego stosu serwetek i wielkich rolek ręczników papierowych, tak, do zestawu powinna zostać do-

łączona wanna i kabina prysznicowa, a Peter zaczął się zastanawiać, czy po prostu nie sięgnąć po nóż i widelec, zwyczajny nóż i widelec, żeby zagrać na nosie udawanemu modernizmowi Bena, tym egzotycznym daniom, które w miejscach, skąd pochodzą, są tradycyjnymi potrawami ludowymi, lub może powinien zamiast tego zacząć pić, ale oczywiście tego też nie zrobił, tylko odwrócił się do chłopaka.

– Czym się zajmujesz, Patrick?

– Komunikacją – odparł Ben.

Peter nalał sobie wody do kieliszka.

– Czy Patrick nie potrafi odpowiedzieć sam?

– Komunikacją – powiedział Patrick.

– Czy nie wszyscy się tym zajmujemy?

Peter zauważył, że Helene i Ben stale wymieniają przelotne spojrzenia, innymi słowy, martwili się o niego, rozmawiali o nim wcześniej, a teraz wzięli go pod obserwację.

– Co to znaczy komunikacja?

Pytanie zadała Kaia.

Helene nachyliła się do niej.

– To znaczy rozumienie się nawzajem.

Kaia z powagą pokiwała głową, ale dalej patrzyła na Petera.

– Pytałam tatę – szepnęła.

– To znaczy, że jak niedługo powiem, że masz iść spać, to pójdziesz – wyjaśnił.

– Nie! – zawołała Kaia.

– Właśnie że tak – powiedział Peter. – Komunikacja oznacza po prostu, że mam rację.

Wszyscy się roześmiali, może trochę za głośno, szczególnie Helene, pomyślał Peter, aż takie zabawne to przecież nie było, i znów półmiski zaczęły krążyć wokół stołu, z pominięciem

jego, ciągle z pominięciem jego, tak jak i rozmowa z czasem zaczęła się toczyć z jego pominięciem, a Peter nie miał siły się w nią włączać, był wyłączony, jakby znajdował się w wagonie, który stale zwalnia i w końcu całkiem się zatrzyma, na bocznym torze, na złomowisku, i intensywnie czuł, że jest wyłączony, a to, co zwykle sprawiało mu pewną przyjemność, to jego, można powiedzieć, dobrowolne wygnanie, kiedy mógł w spokoju zajmować się swoimi sprawami, bez względu na to, gdzie się znajdował, myłone przez niektórych z czarującym roztargnieniem, nie sprawiało mu już żadnej radości i nie przynosiło spokoju, bo tego wieczoru nie był panem swojej nieobecności, tym razem to sięgało głębiej, w ten straszny mrok, który wcześniej tego dnia powalił go na ziemię, a potem równie gwałtownie go z niej podźwignął.

– Amputacja.

Peter raptownie podniósł głowę, wszyscy wpatrywali się w niego w milczeniu.

– Co?

Helene bez słowa nakryła mu rękę dłonią.

Patrick jeszcze bardziej się nachylił.

– Amputacja – powtórzył.

Peter ciągle nie wiedział, o co chodzi.

– Amputacja?

Teraz zaczęli spoglądać po sobie, tylko Kaia ciągle nie spuszczała z niego wzroku, wydawała się zasmucona i zniecierpliwiona widokiem ojca w takim stanie, tak wyłączonego, nie na swoim miejscu.

Ben dolał sobie wina do kieliszka.

– Patrick ma na myśli twój debiut, mój drogi. Twoją pierwszą wystawę u mnie. Tę wystawę, która zrobiła z ciebie tego,



kim jesteś. Pamiętasz ją, Peter? To było zaledwie dwadzieścia pięć lat temu.

– Zrobiłeś się sentymentalny od wina czy od tego paskudnego jedzenia palcami?

Ben się roześmiał.

– I jest tym zachwycony, jeśli się dobrze wsłuchasz.

Ben już mówił podniesionym głosem, jak zwykle w pewnym momencie, na ogół jeszcze przed dziewiątą, chociaż nie był wstawiony, bo nie upijał się nigdy, chciał jedynie mieć pewność, że wszyscy go słyszą, miał taki brzydki nawyk z młodości, kiedy większość osób z jego kręgu szeptała, milczała albo kłamała.

Peter spojrzął na zegarek, trzy po dziewiątej; nie uświadał sobie, że czas tak leci, tak szybko, tak długo, czyżby znów odpłynął?

Roześmiał się, śmiertelnie wystraszony.

– Ile lat miałeś wtedy, Patrick? Trzy? A może jeszcze nawet się nie urodziłeś?

Helene szybkim ruchem oderwała listek z rolki ręcznika papierowego i położyła go Kai na kolanach.

– Dwa obrazy ciągle wiszą u mnie w sypialni – powiedział Ben.

Patrick popatrzył wprost na Petera.

– Godne podziwu.

– Godne podziwu?

– Tak. Części ciała pozbawione swojej funkcji. To brutalne i piękne. Dlaczego już tego nie malujesz?

Na chwilę zapadła cisza; krytyka była tak wyraźna, tak nędnie zamaskowana uprzejmą formą, odwróconą pochwałą, że nawet Ben spuścił wzrok, zawstydzony, zażenowany,

i zaczął pracowicie wycierać palce w to, co jeszcze zostało z niebieskiej serwetki.

Peter spojrział wprost na Patricka.

– Bo już to namalowałem.

Ben uniósł kieliszek i wyrażając uznanie dla Petera, a naganę dla swojego młodego nowoczesnego przyjaciela, powiedział:

– Ta odpowiedź była o wiele lepsza niż pytanie.

Wypili i znów zapadła cisza. Na szczęście przerwała ją Kaia.

– Co to znaczy amputacja?

Peter odstawił kieliszek.

– Jeśli na przykład boli cię palec u nogi i wda się zakażenie, które grozi rozlaniem się na całą nogę, to wtedy ten palec się odcina. To jest amputacja.

Helene się roześmiała.

– Nie słuchaj taty – powiedziała.

Kaia się zamyśliła.

– A jeśli rozboli mnie głowa? – spytała w końcu.

Helene wstała.

– To musisz iść do łóżka!

Kaia była zbyt śpiąca, żeby protestować, i posłusznie poszła za matką. Mężczyźni dalej siedzieli. Ben otworzył kolejną butelkę wina.

– Przeczytałem coś dziwnego w wywiadzie z jedną z tych pań od Rembrandta. Powiedziała, że zawsze śnimy figuratywnie. Tak jest z wami?

Patrick tylko wzruszył ramionami. Ciągle był obrażony.

– Ja nigdy nie pamiętam swoich snów – odparł Peter.

To oczywiście było kłamstwo. Znakomicie pamiętała na przykład tego chłopca, który zadał mu tamto niemożliwe py-

tanie na szkolnym podwórzu, całą jego postać, ten pulchny chłopak był rozpoznawalny, tak samo jak rozpoznawalny był on, Peter, w zamszowej kurtce, z uczesаныmi na mokro włosami, sen był zatem figuratywny, lecz mimo to nie realistyczny, tylko skrzywiony, Peter nie potrafił opisać go innym słowem, i uświadomił sobie, niemal jakby doznając objawienia, że w snach światło płynie z ich wnętrza, nie ma w nich żadnego innego źródła światła, tak jak biała farba Beckersa potrafi tkwić na spodzie obrazu pod wszystkimi innymi warstwami farby i sprawiać, że nawet czarna powierzchnia jaśnieje.

Ben się roześmiał.

– Czy w tym kobiecym anachronizmie coś jest? Czy we śnie jesteśmy po prostu staroświeccy? Ukryci w szafie realiści, że tak powiem?

– Ja bym raczej nazwał sny instalacjami – stwierdził Patrick.

Ben prędko zerknął na Petera, przez moment niemal zastydzony w imieniu swojego młodego kochanka, i dalej przez pewien czas tylko pili, zamiast rozmawiać, tak było najlepiej, słyszeli deszcz bębniący o dach, wiatr w drzewach przy ogrodzeniu, Helene śpiewającą Kai.

Ale Peter nie zdołał się powstrzymać:

– Czyli że tobie śnią się instalacje, Patrick? Pod moimi amputacjami w łóżku Bena?

– Nie, na coś takiego rzadko jest czas.

Ben im przerwał.

– Mam dobrą wiadomość, Peter.

– Aha, no to mów. Zamierzacie przeprowadzić adopcję?

Ben westchnął i na moment odwrócił się w stronę Patricka.

– Peter Wihl ma osobliwe poczucie humoru. Trzeba trochę czasu, żeby się do niego przyzwyczaić.

Patrick pokręcił głową.

– Ja uważam, że Peter jest zabawny.

Peter nachylił się do niego.

– Uważasz, że jestem zabawny?

– Lubię prowokacyjny dowcip.

Peter się roześmiał.

– Prowokacyjny? Po prostu usiłuję być miły.

Patrick też zaczął się śmiać.

– Miły jak amputacja – powiedział.

Peter dostrzegł przebłysk wściekłości chłopaka, więc milczał.

Ben nakrył ręką jego dłoń.

– Kiedy skończysz przygotowywać tę wystawę, czeka cię portret.

Peter przyciągnął rękę do siebie.

– Czyj?

Ben kazał się prosić.

– Tego nie mogę powiedzieć, dopóki wszystko nie będzie przyklepane. Ale mogę zdradzić przynajmniej tyle, że wyżej już się nie wespniemy.

– Wcześniej będę chciał namalować kogoś innego, Ben.

– Kogo?

Peter nachylił się nad stołem.

W tej samej chwili wróciła Helene. Usiadła i z uśmiechem popatrzyła po kolei na wszystkich mężczyzn, Ben w tym czasie napełnił jej kieliszek.

– Jakie macie tajemnice? – spytała.

– Sny Patricka to instalacje – powiedział Peter.

A Patrick, który ze swoją miłą gładką buzią – może za sprawą wina – coraz bardziej przypominał przerośnięte dziec-

ko, niespokojnie poruszył się na krześle; zasłużył na to, pomyślał Peter, a Ben musiał przyjść chłopakowi na ratunek, wziął go za rękę, odwrócił się do Helene i zmienił temat.

– Powiedz nam raczej, co słyhać z *Dziką kaczką*?

– Za wcześnie, żeby coś mówić. Ale wydaje mi się, że to będzie inne.

Ben westchnął.

– W gruncie rzeczy to nieznośna sztuka. Ibsen, ten chytrus, pozwala, żeby wszystko, co może pójść źle, poszło tak źle, jak tylko się da. A to nieznośne!

Helene przechyliła głowę.

– A co twoim zdaniem powinien zrobić Ibsen?

Ben zaczął mówić jeszcze głośniej:

– Dramatyczny z niego pozer. Te nieprzyjemne historie w rodzinie Ekdalów mogliby po prostu uporządkować i uratować dziecku życie! Egoiści mężczyźni w średnim wieku to chyba najohydniejsze, co może być.

– I co wtedy zostanie z dramatem?

Ben się rozejrzył.

– Czy szczęście nie jest dostatecznie dramatyczne? Czy do dramatu potrzebne są choroby weneryczne, bankructwo i nagła śmierć? Nie można poprzestać na szczęściu?

– Chodzi ci o idyllę, Ben?

– W każdym razie chcę zaproponować otwartą scenografię, żeby publiczność mogła na własne oczy zobaczyć samobójstwo Jadwini. No i chętnie napiłabym się kawy.

Znów im przerwano, tym razem Kaia, która zawołała Petera. Poszedł do niej i w półmroku usiadł na brzegu łóżka, zadowolony, że może pobyć z córką i chociaż na chwilę uciec.

– Nie udaje ci się zasnąć?

Kaia pokiwała głową.

– Rozmawiamy za głośno?

– Zwłaszcza wujek Ben.

Starannie otulając ją kołdrą, Peter nasłuchiwał rozmowy w kuchni, nie słyszał słów, tylko głosy, ale on też nie zdołałby zasnąć wśród takich dźwięków w domu, lepszy jest deszcz bębniący o dach i okna, deszcz to właściwy akompaniament do snu.

– Tak, zwłaszcza wujek Ben – powtórzył.

Kaia nagle chwyciła go za rękę, a jego zdumiała siła tych małych paluszków.

– Do kogo jestem podobna? – spytała.

I Peter w tej samej chwili przypomniał sobie własne pytanie, w ogrodzie, kiedy wyszedł z atelier, wstrząśnięty, i niepokój Kai, ponieważ nie umiała znaleźć odpowiedzi; teraz przyszła jej kolej, by zadać to pytanie, bo dzieci nie zapominają, dzieci muszą się z pewnych spraw rozliczyć, więc Peter pochylił się nad nią i palcem pogładził ją po skrytej w cieniu buzi na białej poduszce.

– Do siebie samej, to jasne, do kogóż by innego?

Kaia się uśmiechnęła.

– Ty też.

Rozliczyła się i puściła jego rękę. Teraz już mogła usnąć. Peter lekko pocałował ją w czoło.

– Co ci się będzie dzisiaj śniło?

– Jeszcze nie wiem.

Uśmiechnął się i wyprostował.

– Dobra odpowiedź – szepnął.

Ale kiedy miał zamknąć drzwi, znów rozległ się głos Kai:

– Mogą zostać uchylone?

Peter się odwrócił.

Kaia siedziała w łóżku, wyprostowana, padała na nią wąska smuga światła z przedpokoju.

– No ale wtedy będziesz słyszała wujka Bena.

– Ale jeśli drzwi będą zamknięte, to i tak nie zasną.

Peter zostawił je więc uchylone i idąc do kuchni, do pozostałych, myślał z niepokojem, prawie z przerażeniem, że córka ma zaledwie sześć lat, a już zna rozterki dokonywania wyboru, i to nie jest konieczność wybierania między dwoma dobrami, albo lody, albo czekolada, tylko między dwoma złami, między ciemnością a hałasem, dwoma sposobami niezasnienia. Stał przy stole, oni pili kawę, deszcz przestał padać, zabrzmiało to tak, jakby welon dźwięku odciągnięto na bok, Helene wyjęła butelkę calvadosu, Patrick sprawiał wrażenie znudzonego, a Ben jeszcze nie skończył irytować się Ibsenem.

– Życiowe kłamstwo jest przereklamowane, to sport wymyślony przez Norwegów. Nieprawda, że życiowe kłamstwo i szczęście mają ze sobą związek. Spójrzcie tylko na mnie!

A Peter zrozumiał, że oczywiście jest tylko jeden sposób na rozwiązanie problemu Kai, na uwolnienie jej od rozterek wyboru i na to, żeby spokojnie zasnęła.

Wycelował palcem w Bena, a oni dopiero teraz go zauważyli.

– Nasza córka prosi, żebyś ściszył głos – powiedział. – Albo całkiem się zamknął.

Ben zasłonił usta ręką.

Patrick roześmiał się jasnym, dziecięcym śmiechem.

– Może raczej pora, żebyście się wzięli do zmywania – podsunął.

Peter się odwrócił.

– Słucham? Co powiedziałaś?